№ 52. Warszawa, dnia 12 (24) Grudnia 1884 r. Tom XXI.—Rok XX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ŁAMANIE SIĘ OPŁATKIEM.

O, bracia moi! moi przyjaciele!
Łamiąc opłatek, czem ja się podzielę
Z was wierną drużyną?

Czy moim smutkiem i moją tęsknotą?
A kiedy dłonie uściskiem się splotą—
Łzami, co popłyną?

Czy się podzielę żalem tej goryczy,
Co swoje straty, jak różaniec liczy,
Wypowiada szkody:

Świętych uniesień, co marnie przepadły,
Promiennych blasków, co w chmurach pobladły,
Ogni duszy młodej?....

Nie, druhy moje! ja się pokolei
Podzielę z wami tą iskrą nadziei,
Co trwała mi wiernie.

Choć nieraz straszno było mi i ciemno,
Nadzieja moja, jak anioł, szła ze mną,
Przez głogi i ciernie.

Podzielę ja się z wami moją wiarą,
Tą prostą, cichą, tą maluczką, starą:
W Boga na błękicie—

Który jest Synem, w ludzkości cierpiącym,
Który jest Duchem, ogniem gorejącym,
Co budzi serc bicie.

I mą miłością podzielę się z wami,
Niewypłakaną najcięższemi łzami
Sierocej mej doli.

Cicho się ona w głębi łona kryje,
Lecz przez nią serce tętnem życia bije,
Cieszy się i boli.

Czasem to taka tkliwość jest wzruszona,
Że wszystko garnąć-by chciała w ramiona,
Co jest, żyje, rośnie....

Żeby pragnęła usty gorącemi,
Jak pierś matczyną, każdy zagon ziemi
Całować miłośnie!....

Lecz czasem przez tę miłość—nienawidzę!
Tak gardzę lichem, podłem tak się brzydzę,
Odpycham, co kłamie!

Lecz i tem jeszcze z wami się podzielę:
Przez wszystką życia boleść, i wesele,
Sercem się przełamię.

Maryą Ilnicka.

POGAWĘDKA.

Tak się złożyło, że niniejszy numer *Bluszczu* pod względem daty zeszedł się ze świętami Bożego Narodzenia i że do rąk naszych czytelniczek i czytelników dojdzie w najbardziej uroczystej chwili: łamania się opłatkiem i dzielenia życzeniami.

Niechżeż posłuży nam przy tej wymianie uczuć i będzie nadal łącznikiem serc i umysłów, a jako bluszcz prawdziwy, niech przez cały rok barwą świeżości i nadziei, przypominającą wieczną wiosnę, domowe wasze zacisza umila, do ścian waszego domku się garnie i na kartach swoich, jak na liściach, krople ożywczej rosy wam podaje.

Familijne to święta, i tylko w kółku swoich najbliższych spędzać się je zwykło, wśród rodziny, wśród osób drogich sercu, z myślą o drogich pamięci; jakoś nie przystoi obcym wciskać się dziś w te rodzinne *sanctuaria*, chociażby z życzeniami: a jednak idziemy do was w tym dniu, wciskamy się, narzucamy niejako, bo sam los, nakreślając nam dzisiejszą datę na czole niniejszego numeru, drogę nam wskazał i w gościnę do was choć nieproszoną wysłał.

Niechże to będzie dobrą oznaką i wróżbą dobrą, niechaj nam z tego wolno wnioskować, że mamy prawo stawać jako swoi i blizcy w waszem rodzinnem gronie i uczestniczyć w tym pięknym dniu z wami i chociaż myślą przełamać się przy starych życzeniach: „Daj Boże wszystkiego dobrego.”

Szczęśliwi, którym nie poskąpił los miejsca przy stole wigilijnym, którym zapalił choć kilka światełek na choince, pozwolił rozradować duszę kolendą i na prawdę obwieścił, że „wesoły nam dziś dzień nastał...“

Ale iluż biedaków nieszczęsnych tylko echem cudzej pieśni, tylko odblaskiem cudzych świateł pocieszać się może?

Cięższe te święta od wielu poprzednich, bo i rok cały nie lżejszy był; chłodno i głodno, i do domu dla wielu daleko.

W dzisiejszych warunkach już nie o przyjemnościach gwiazdkowych, nie o złoconych orzechach i łakociach, nie o osłodzeniu gorzkiego życia myśleć można, ale o zaspokojeniu zwyczajnych codziennych potrzeb tych wszystkich, dla których gwiazda szczęścia i pomyślności przy-

ćmiła się i przygasła, a samo życie stało się twardym orzechem, na którym niejeden zęby sobie wyłamywać musi.

Dzięki dobremu przykładowi p. Handtkiego, możniejsi obywatele i litościwe obywatelki Warszawy karmią kilkuset głodnych dziennie, ale cała ta szlachetna ofiarność zaledwie w jednej części rozwiązuje narzucone nam przez los humanitarno-obywatelskie zadanie.

Podobno zakrzątnięto się około środków skuteczniejszych; jeśli znajdzie się fundusz odpowiedni, urządzonych zostanie kilka kuchni nowych dla robotników fabrycznych bez zajęcia, żeby zaś nie demoralizować ludzi pracy taką pomocą, wielce do jałmużny podobną, wyżywianie głodnych rodzin robotniczych odbywać się ma na zasadzie bezterminowej i bezprocentowej pożyczki, którą w najskromniej obliczonej należytości za zjedzone w ciągu zimy obiady zwracać mają później z przyszłorocznych zarobków wygodnemi ratami.

Pod względem moralnym sposób ten wspomagania biednych ma swoje poważne znaczenie, nie upokarza nikogo i zachowuje najbiedniejszemu godność, a tem zaufaniem ze strony ogółu zobowiązuje i do większego uszanowania i rozumienia właściwego udzielonej pomocy nakłania.

Słusznie zauważono, że to specyalizowanie pomocy, wyłącznie tylko dla jednej klassy społecznej, wobec ciężkich warunków dzisiejszego stanu ekonomicznego, przygniatających zarówno wszystkich od góry do dołu, nie jest właściwe.

Ofiarność publiczna nie powinna się zbyt skrupulatnie obliczać w tych czasach, komu daje i pomaga, kogo karmi i wspiera. Zarówno robotnik fabryczny, jak biedna szwaczka, rzemieślnik, jak wyrobnica, ma prawo do kawałka chleba z bratniej ręki, gdy głód dokuczy.

Przyszłość nas wszystkich rozliczy i zlikwiduje: to exekutorka bezwzględna i rachmistrzyni sumienia w układaniu społecznych bilansów.

Pomimo utyskiwań, słusznych zresztą i usprawiedliwionych, na ciężkie czasy, zdarzają się u nas objawy, mogące stropić obserwatora naszych stosunków finansowo-ekonomicznych.

Ktoby mógł przypuszczać pomimo całego entuzyazmu i sympatyi dla Modrzejowskiej, aby w ciągu pięciu dni po ogłoszeniu abonamentu na dwanaście przedstawień, z udziałem znakomitej artystki, kassa teatru zebrała 13,000 rs. za bilety!

Występy Modrzejowskiej przypadną w Styczniu i Lutym, a wielbiciele jej talentu znajdą sposobność odnowić swoje wrażenia w sztukach znanego repertoaru artystki i podziwiać ją znowu, jako Adryannę, Maryą Stuart, Norę, Małgorzatę Gauthier. Dwie role: Odetty i Violi w „Wieczorze Trzech Króli“, jedynej nowości przygotowywanej *ex re* występów artystki, wzbogacą szereg jej kreacyi scenicznych.

Już to przyznać trzeba, że tegoroczny sezon zimowy pod względem artystycznym nie skąpi nam niespodzianek i pięknych wrażeń. Po tem, co już było, zapowiadają coraz ponętniejsze rzeczy.

W ostatnich dniach przed świętami zachwycaliśmy się zjawiskowym talentem i osóbką młodziutkiej violonistki, która od paru lat na europejskich estradach zdobywa sławę, laury i złoto.

Teresina Tua zbałamuciła i oczarowała cały nasz świat muzykalny, a przyszło jej to z łatwością, bo natura obdarzyła ją, nietylko wyjątkowym talentem i artystyczną duszą, ale i czarownemi oczyma, i ustami, w których najrozkoszniejszy uśmiech bywa okrasą i akkompaniamentem, dziwnie uroczym, jej gry. Ta siedmnastoletnia, jasnowłosa Sabaudka, ruchliwa jak żywe srebro, zwinna jak kotka, jeszcze dziewczątko, a już znakomita artystka na najtrudniejszym instrumencie muzycznym, rywalizuje dzisiaj z wielkim Sarassatym—a ma jednę ważną wyższość na drodze powodzenia nad rozmarzającym Hiszpanem: że jest kobietą i do tego ładną.

Ciekawe będą kiedyś pamiętniki tej *Geigenfee*, jak ją Niemcy, oczarowani jej grą, nazwali. Ojciec Teresiny, niezamożny skrzypek, zamieszkały w Turynie, pierwszy zaczął kształcić swą jedynaczkę i całemi godzinami kazał jej wygrywać ćwiczenia z talerzem pod pachą, by przyzwyczaić przyszłą artystkę do spokojnego prowadzenia prawej ręki i nieodrywania łokcia od boku.

Raz się ten talerz stłukł i to.... była pierwsza straszna katastrofa w jej artystycznym zawodzie, ale dotychczas chyba najważniejsza, bo z tak uśmiechniętemi wiecznie oczyma, z taką pogodą w niewinnej twarzy dziewczęcej, z takim humorem wiewióreczki na zielonych gałęziach — wiele ciężkich smutkow mieć się nie mogło.

Pani Rosen, Rossyanka, posłyszawszy grę małej Teresiny w Nicei, zajęła się nią, opatrzyła listami do słynnego Massart'a, professora konserwatoryum paryzkiego, i wysłała nad Sekwanę.

Trzy razy z rzędu brała pierwszą nagrodę, a kiedy rozpoczęła swą wędrówkę artystyczną po świecie, otwierały się przed nią najpierwsze salony; wszystkie ważniejsze stolice zachwycały się jej grą, publiczność oklaskami i kwiatami obsypywała swą ulubienicę. Kiedyś nie chciano jej przyjąć w ambasadzie włoskiej, gdy ze swoim mistrzem szukała tam poparcia.

Z oburzeniem najwyższem odeszła od progu swojego rodaka dygnitarza.

— Mniejsza o mnie—mówiła—ale żeby mojego nauczyciela nie przyjęto, żeby Massart'a odprawiono ode drzwi!... to nie do wybaczenia. O, nigdy, nigdy nie zagrałabym w tych salonach, choćby mnie złotem obsypali!

W rok później, w apartamentach ministeryum włoskiego Mancini podejmował Teresinę i kwiat arystokracyi rzymskiej zachwycał się jej grą i osóbką.

— Moje dziecię, co mógłbym dla ciebie uczynić?—zapytał ją w połowie wieczoru minister—żądaj, czego chcesz.

Pomyślała chwilę i odrzekła:

— Dla mnie nic, excellencyo, ale dla mego nauczyciela Mossarta, jeżeli można, prosiłabym o dekoracyą.

Chciała w ten sposób odwdzięczyć się swemu mistrzowi i odwdzięczyła się, bo pozwolono jej własnemi rękoma przypiąć na piersiach sędziwego professora, podczas lekcyi w konserwatoryum, wobec uczniów i dawnych kollegów—niespodziankę w formie włoskiego orderu.

Oto kilka rysów z życia tej najnowszej gwiazdy na artystycznym horyzoncie Europy.

Powinniśmy byli wspomnieć przedtem o odwiedzinach słynnego Cumberlanda, odgadywacza myśli ludzkich, dla którego ludzkie głowy są jak szklanne ule, a który przez kilka wieczorów zadziwiał swojemi produkcyami warszawskich niedowiarków, odnajdując z zawiązanemi oczyma ukryte szpilki, pisząc pomyślane liczby i imiona, odsłaniając wreszcie tajniki spirytystycznej blagi, ale—czas skończyć, bo głosy kolendy zagłuszają już gawędziarza.

Jeszcze raz: „Wesołych świąt!“

GŁUPIA DZIEWCZYNA

NOWELLA

przez

Edwarda Lubowskiego.

(Dalszy ciąg).

Za chwilę powóz wyruszył, ale matka z Anielą stały jeszcze długo przede drzwiami i, ocierając łzy, patrzały na tę dziewczynę, która im się nieraz wydawała tak nieznośną.

Gdy weszły do pokoju, rzuciły się sobie w objęcia. Aniela, całując ręce matki, obiecała jej wynagrodzić wszystkie zmartwienia, których doznała z jej powodu; poczem pobiegła do pokoiku Antosi i tam, przeglądając każdy sprzęt, każdy kącik, przypominała sobie niedawną swą przeszłość. Wierzyć się jej nie chciało, że mogła tyle przeżyć w tak krótkim czasie i że z takim chłodem i samolubstwem chciała pożegnać to miejsce, ażeby życie podzielić z obcym i nieznanym sobie człowiekiem. Wszak pewną jest szlachetności i przywiązania Kajetana a jednak dziwi ją to, że Antosia tak łatwo oderwać się mogła od rodziny i porzucić te miejsca, które były świadkiem każdego wydarzenia od dnia urodzin. Antosia, tak dobra i kochająca rodzinę, porzuciła wszystko: ażeby się powierzyć mężowi: jakiemże więc silnem i głębokiem musi być uczucie, które dla Anieli było dotąd igraszką tylko, formułką, konwenansem!

Nagła miłość Antosi, jej rozpacz i wyrzuty sumienia, niezawodnie wstrząsnęły silnie duszą Anieli. Zastanowiła się po raz pierwszy nad całem swojem życiem i przestraszyła się jego pustki. Przestraszyła się i swojego postępowania. Teraz dopiero poznała jasno położenie swoje i stosunek do rodziny. Czemże dotąd była dla matki?—jakąż siostrą była dla młodszej siostry? jaką kobietą dla tych, którzy starali się o jej rękę? Wszystkich chciała mieć sługami swej woli, narzędziami jakiejś karyery, którą sobie wymarzyła, dlatego, bo nie pojmowała najprostszych obowiązków, dających spokój i tę wiarę, że i ubożsi i maluczcy mogą mieć cel życia przed sobą. Wstręt ją brał do samej siebie. Tyle niesprawiedliwości względem biednej Antosi, a może i niejedna łza wylana przez nią: a dziś niema nawet sposobności wypłacenia jej gorącą miłością uczynionej krzywdy. A Rozbielski, któremu za jego prawdziwe uczucie odpowiedziała szyderstwem ironią, lekceważeniem!

Od tej sekundy stała się całkiem inną. Wstając raniuteńko, szła na targ, pomimo prośb matczynych, poczem krzątała się przy gospodarstwie, ażeby w wolnej chwili usiąść przy matce i czytać jej książkę lub rozmawiać z nią zupełnie inaczej niż wtedy, gdy narzekała na niesprawiedliwość losu i nudy. Matka poznać nie mogła swej Anieli, chociaż teraz dopiero uczuła, czem może być dobra córka. Często jednak bez widocznej przyczyny zalewała się Aniela łzami. Sama nie wiedziała dla czego: czy była to jakaś tęsknota za czemś o czem dusza marzy bezwiednie czy żal za niepowrotnie źle zrozumianem życiem, czy też wrodzony smutek, którego teraz, nie rojąc żadnych ambitnych planów, wstydzić się nie potrzebowała?

W tydzień potem, tak, jak było przyrzeczone, przyjechał p. Kajetan zabrać ją z matką do siebie. Antosia, której radość tryskała z oczu oprowadziła je po rozległym domu, w którym już ład zapanował według jej gustu; poczem zostawiwszy rozpromienioną matkę z mężem, pociągnęła ze sobą Anielę do swego pokoju.

Co jej tam mówiła, któż powtórzyć zdoła? znać wszakże było, że tak mówić może tylko ten, który się znajduje w całej pełni szczęścia i spełnionych życzeń. Antosia żadnych życzeń co do przyszłości własnej nie żywiła nigdy. Szczęście przyszło samo, nieoczekiwane, a tak wielkie, że inną byłoby odurzyło; ją tylko utwierdziło w przekonaniu, że jest jakaś Opatrzność, która się opiekuje takiemi biednemi istotami, za jaką siebie zawsze miała.

— Tak, Anielciu droga, jeżeli ja, nic nieumiejąca, żadnych nieposiadająca zalet, znalazłam tyle szczęścia, cóż dopiero ty...

— Ty, dziecko drogie — przerwała Aniela — ty posiadasz największy skarb, bo złote serce, gotowe do poświęceń... i czyż dziwić się można, że on od pierwszego wejrzenia zakochał się w tobie?

— Nie, Anielciu, naprawdę powiedz mi, co on widzi we mnie? bo trzeba ci wiedzieć — rzekła ciszej — że on mnie kocha, kocha bardzo. A wy go jeszcze nie znacie. Jaki pracowity, jaki rozumny, jak go tu wszyscy kochają, jak go ludzie szanują, a jaki energiczny! a w domu to gotów się bawić ze mną jak z dzieckiem. Czy wiesz? nie pozwolił mi zajmować się kuchnią, zaglądać do obórki i kurnika, mówiąc, że od tego mam służących. Naprawdę, on myśli, że wziął sobie jakąś królową. A gdybyś wiedziała, jakie on ma plany względem ciebie! Chce was przywieźć tu na karnawał, sprowadzić massę młodzieży, tak żebyś sobie nareszcie wybrać mogła, droga Anielciu.

— O, nie, moja Antosiu! już mnie to odeszło!

Nie przypominaj mi tego, czego się dziś wstydzę.

— A to czego? Może ty myślisz, że ja mu w tem nie dopomogę, że ci nie wybierzemy jeszcze lepszego od Kajetana... nie, lepszego byłoby trudno, ale takiego akurat jak on. Zobaczysz, droga moja Anielciu.

I klasnęła rączkami z radości.

— Nie myślcie o mnie, proszę was, moim obowiązkiem być przy matce i zastąpić jej ciebie.

— Także też mnie?! mnie com wam zawsze przewracała dom do góry, ja kozak! a!— zaśmiała się z całego gardła.—Cóż pan radca porabia? Nie chciał przyjść nawet na mój ślub, dlatego, że mi sam nie wybrał narzeczonego. Muszę go tu kiedy zaprosić.

— Złośliwa jesteś: chcesz mu pokazać wzór dobrego męża.

— A naturalnie „model“, jak on zawsze mówił. Oh, Anielciu, Anielciu, nie puszczę was długo od siebie: musicie być tu tak długo, dopóki się wam nie naprzykrzę.

— Chyba my wam, a raczej ja, która z ludźmi żyć nie umiem.

— Kto ci to powiedział? Moja Anielciu, ja ci nie pozwolę na te smutki, bo widzę dobrze, żeś nie taka jak wprzódy, ty moja, pieszczocho. Jakże ty tam dajesz sobie rady beze mnie i kto ci usługuje?

— Nie przypominaj mi tego, co mnie boli. Byłam złą dla ciebie zawsze i niesprawiedliwą.

— Moja Anielciu! — stanęła przed nią, nachmurzywszy czołko — kto cię takich rzeczy nauczył? Tyś się urodziła na wielką panią i tobie tak ładnie, gdy się pieścisz, jak mnie, gdy karmię kurki, bo trzeba ci wiedzieć i tu mam swoją kokoszkę, ale mi tej nie zabiją, jak mi powiedział podstępny Kajetan. Wyobraź sobie, że ja niegdyś pisałam dzienniczek i raz zginęły mi na ulicy dwie kartki, które on znalazł i nic mi o tem nie powiedział, aż dopiero teraz... Z tego dzienniczka dowiedział się właśnie o mojej kokoszce, pamiętasz ją przecie, i o moim żalu, że ją trzeba będzie oddać na kuchnią. Ale ogromniem się rozgniewała na niego za taki podstęp, tylko, że tak mnie przepraszał, tak przepraszał...

I zarumieniona ukryła głowę na piersiach Anieli.

X.

Ludzie nie rodzą się wykuci z jednego granitu. Wpływy najróżnorodniejsze zewnętrznego świata, doświadczenia gorzkie i krwawe, kształcenie się rzetelne i coraz wyżej dążące, rozwidniając w umyśle, rozwidniają też lub... zaciemniają w duszy. Niezwykłe wreszcie a niespodziewane wydarzenia oddziaływają nieraz piorunowo i stanowczo, pociągając za sobą nagły zwrot idei, poglądów i czynów. Na Anielę ostatnie wypadki z Antosią, zwłaszcza dlatego, że dotychczas ta lekceważona siostrzyczka stała na ostatnim planie— wywarły silne, niedające się zatrzeć wrażenie. Przekonała się w jednej sekundzie, że sztuczność i nieszczerość zdolne są do odgrywania przez czas jakiś komedyi, ale nie dają ani sobie, ani innym szczęścia. Cóż jej z tego, że ją pieściła matka, słuchała niewolniczo siostra, gdy nigdy silniej nie uderzyło serce jej dla nikogo? Marzenia o bogactwach, trudne do urzeczywistnienia, teraz wydały się jej poprostu śmiesznemi, a te lata, gdy już wzrastać zaczęła i została panną na wydaniu, jakże teraz były dla niej czcze i błahe? Wstyd i skrucha ogarnęła ją z wielką potęgą, a teraz, po kilku tygodniach pobytu u siostry, przyłączyło się inne jeszcze uczucie. Patrząc na ich wzajemną wielką miłość, na płynące ztąd tysiączne radości, na ten epizod szczęścia, tak rzadki w życiu ludzkiem, a krótkotrwały, ale tu tak istotny, przelękła się pustki swej duszy, zadrżała z trwogi nad tem, że ona nigdy nie zdoła nikomu przynieść tyle szczęścia. Widziała się z natury upośledzoną, przeznaczoną na samotność, niegodną podzielenia życia swego z kimkolwiek. Poprawiła się wprawdzie i stała dobrą dla matki, ale czyniła to przez reflexyą, przez głos sumienia, który dobrym jest niezawodnie w pełnieniu obowiązków, ale nie wystarczają do szczęścia nie zapewnia go innym. Trzeba być samemu bogatym w uczucia, ażeby obdzielić kogoś innego. I od tej chwili zdawało się jej, że zrozumiała prawdziwe swe przeznaczenie, a chociaż kryła się jeszcze przed rodziną, powzięła już jednak niewzruszone postanowienie. Dlatego z pewnym oporem pojechała na karnawał do siostry, która w zmowie z mężem sprosiła dużo młodzieży ochoczej do tańca i do ożenku. Lecz teraz przesuwali się oni przed oczami Anieli, jak cienie; zadumana, nie przypatrzyła się im nawet dobrze. Ustaliwszy w sobie przekonanie, że szczęście jej nie z tego świata, nie ocknęła się już dla żadnej ambicyi, dla żadnej uciechy światowej. Nadaremnie Antosia wychwalała przed nią przymioty jednego, świetne stanowisko drugiego: Aniela słuchała z uśmiechem dobrotliwym, a potem, całując siostrę w czoło, mówiła łagodnie:

— Nie trudź się, moja Antosiu! Co ma się stać, stać się musi!

Pani Bolewska zauważyła apatyą Anieli i mocno się nią zafrasowała; byłaby jednak spodziewała się wszystkiego raczej, aniżeli nagłego zwierzenia, które jej Aniela za powrotem do domu, z wielkim, co prawda, szlochem, uczyniła.

— Matko droga, przebacz mi ból, jaki ci sprawię, lecz dziś, gdy możesz mieszkać szczęśliwa przy Antosi, dłużej mi wahać się nie wolno. Jam nie stworzona do życia z ludźmi, mnie na świecie nigdy być dobrze nie może: pozwól mi przeto schronić się do klasztoru.

Matka z rozpaczą załamała ręce.

— Ty Anielciu, moje najdroższe dziecię, ty mnie chcesz opuścić, ty do klasztoru!

— Nie mogę tak marnie błądzić między ludźmi. Mateczko droga, chcecie mnie wydać za mąż, czy na to, ażebym najlepszemu może człowiekowi wniosła w dom nieszczęście? Zbadałam siebie dobrze i wiem teraz, iż tylko tam, w samotności, będę mogła obudzić duszę swoję z letargu...

— Ty, wychowana dla świata, chcesz się zamurować?! Kto cię tak obałamucił, dziecko moje! Mogłażbym żyć spokojna, gdybym wiedziała, że ty już na świat boski nie wyjrzysz, że się zakopiesz w grobie między czterema ścianami? O, nie zabijaj mnie, córko najdroższa, ty któraś była dla mnie wszystkiem!

Umilkła Aniela, nie mogąc pohamować gwałtowności żalu matki. Czekała na sposobniejszą chwilę, spełniając tymczasem z taką gorliwością obowiązki domowe, że jej tego pozazdrościć mogła Antosia. Matka tymczasem, przerażona i wstrząśniona do głębi postanowieniem Anieli, nie sypiała po nocach, modląc się z prośbą o odwrócenie jej zamysłów, aż gdy znowu pojechali do Antosi, z płaczem wielkim zwierzyła się przed nią. Antosia także struchlała, oniemiała. W głowie nie mogło się jej pomieścić, ażeby ta pieszczocha Anielcia w taki sposób zakończyć miała młode swe życie. Radziły z sobą długo, ale bezskutecznie. Antosia postanowiła się odwołać do rozumu męża, ufając, że jeśli nie on, to nikt już inny nie pomoże.

Pani Bolewska widziała w tem karę niebios, bo całe życie Aniela głównie ją zajmowała, bo kto wie, czy nie ją jedną kochała prawdziwie, z najwyższą czułością macierzyńską: a dziś ona chce ją opuścić, pozostawić przy Antosi, która choć także jest jej córką, ale nie tą, do której serce jej tak gwałtownie przylgnęło! Antosia zaraz po rozmowie z matką zamknęła się w sposób nader tajemniczy ze swym mężem i, składając przed nim rączki, z oczkami omglonemi łzą, zawołała boleści pełnym głosem:

— Kajetanie drogi, najsłodszy mój mężu, ratuj, jeżeli mnie kochasz choć troszyneczkę!

Pan Kajetan, wcale odważny mężczyzna, tym razem przeląkł się nie na żarty.

— Mówże na Boga, i bez niepotrzebnych wstępów!

— Ty jeden masz rozum za stu i bystrość taką, że odrazu wszystko przenikniesz.

Pan Kajetan mimowoli się uśmiechnął, a całując składną rączkę swej pani, zapytał:

— Coś mi pani zbroiłaś, bo mi się strasznie przymilasz.

— A fe! jakże możesz tak myśleć. Ja mówię do ciebie poważnie, a ty...

— A ja domyślam się, bom, jak mówisz, bystry, że się trwożysz o coś zbytecznie.

— Wstydź się! Zbytecznie gdy o Anielcie chodzi?

Pan Kajetan chrząknął.

— No, no, cóż takiego? Istotnie zaczyna mnie ona dziwić, tak się nagle zmieniła, z taką obojętnością przyjmowała hołdy, Jasia naprzykład, który ma wieś o trzech folwarkach.

— Widzisz, widzisz, żeś się i ty popsuł: tobie się zdaje, że Anielcia zawsze tasama. Nie, mój drogi. O, mój Boże, jaka ja nieszczęśliwa, mogę siostrę utracić nazawsze.

— Co, co? zdrowa przecie.

— Ale chce wstąpić do klasztoru!

Pan Kajetan rozśmiał się wesoło. Antosia, naprawdę rozgniewana, wstała z miejsca, mówiąc:

— Jeżeli się śmiejesz, gdy ja płaczę, to nietylko jesteś niedobry, ale dajesz dowód, że mnie nic a nic nie kochasz.

Pan Kajetan pochwycił odchodzącą i przytulił do piersi.

— Antosiu, Antosiu, nie lepiejże to, iż się śmieję, niż żebyśmy oboje naraz płaczem wybuchnęli? A co się tycze Anieli, jakoś mi się nie zdaje, żeby ona, tak dotąd szczęśliwa, zamknąć się chciała na całe życie w klasztornej celi.

— Kiedy ci mówię, że tak jest, że mama rozpacza i niczem jej od tego odwrócić nie może.

— Hm hm! — zamyślił się pan Kajetan — a co za przyczyna? — zapytał się po chwili.

— Powiada, że niestworzona dla świata, że nie umie żyć z ludźmi, że nie umie podzielić się sercem swojem... albo ja wreszcie wiem!

Pan Kajetan milczał ciągle, namyślając się.

— Mówże co! — prosiła niecierpliwie Antosia.

— Hm, wiedziałbym sposób!

— Oh, tyś poczciwy zawsze! Jaki, jaki?

— Sposób prosty. Potrzeba, żeby się Anielcia zakochała naprawdę.

Antosia z rozczarowaniem opuściła ręce, mówiąc:

— Spodziewałam się czego innego po tobie.

— Ale, moja kobietko, zawierz mi, że to sposób najlepszy.

— Gdyby nawet był najlepszym, to w kim i jak?

— W tem właśnie rzecz. Powiedz mi, czy z tych, którzy poprzednio starali się o jej rękę, nikt się jej nie podobał naprawdę?

— Trochę pan Cezar, ale on brzydko postąpił i niema co mówić o nim.

— A ten pan Rozbielski, o którym tak pochlebnie pisałaś w swym dzienniczku?

— Poczciwy, zacny człowiek, kochał Anielcię; ale cóż z tego, kiedy ona go nie kochała!

— Co z tego? Wszystko z tego, moja dobrodziejko! Potrzeba ci wiedzieć, że gdy kto kocha serdecznie i głęboko, to na sto razy w dziewięćdziesięciu wywalczy sobie wzajemność: najpierw na mocy naturalnej wdzięczności, później wskutek rozpatrzenia się i namysłu strony niekochającej, a wreszcie dzięki własnej swojej stałości, z jaką kocha. Skutkiem rozpatrywania następuje ocena przymiotów, potem malutkie przywiązanie, potem coraz większe, aż i... no, pojmujesz?

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Grudniu 1884 r.

Munkaczy. — Gierymski. — Popiel. — Rybkowski. — Koncerta. — Upadek teatrów. — Wykłady publiczne. — *Kanał Suezki.* — *Prawo do pracy.* — Towarzystwo zarobkowe kobiet. — Fanny Elssler.

(?) Kiedy się zaczyna *sezon*, otwiera go zawsze sztuka: więc wystawy obrazów, muzyka, teatr, potem wykłady publiczne, aż przyjdzie kolej na politykę i na karnawał. Tak się dzieje w Wie-

NARODZENIE CHRYSTUSA.

dniu, jak wszędzie, i jak co rok. Są to wszelako tylko ramy do obrazu; sam obraz zmienia się, nęci nowością, lub doniosłością treści. Inaczej nie byłoby *sezonu*.

Turniej sztuk pięknych rozpoczął—nie wiem: czy Munkaczy, czy jego *impresario* Sedelmayer z Paryża? Wątpliwość ta jest usprawiedliwioną, wynika ona z dziejow i z samej treści kompozycyi ogromnego płótna: „Ukrzyżowanie Chrystusa.“ Jest to utwór potężnego talentu, pomysł zupełnie nowy, oryginalny; mimo to w wykonaniu dzieło chybione. Munkaczy wymalował Ukrzyżowanie: Chrystus, dwaj łotrzy, a pod krzyżem święte niewiasty. Miał to być obraz prawie religijny, rozmiarów niezbyt wielkich. Z tego pierwotnego pomysłu stało się, podobno za namową *impresaria*, zupełnie co innego: stał się obraz olbrzymi historyczny, przeznaczony na to, aby go obwożono po całym świecie na podziw. Nie miał on już przedstawiać samego ukrzyżowania, ale raczej wrażenie tego faktu na współczesne otoczenie, więc obraz spółeczeństwa Jerozolimy, Żydów i Rzymian. Ztąd powstała w utworze dysharmonia. Ukrzyżowanie, które nie da się inaczej traktować, tylko jako przedmiot religijny, zestawione jest z dalszą, w dwóch trzecich częściach przeważającą, treścią obrazu, która jest rodzajowo-historyczną. Nadto powstały z tego dualizmu błędy układu: z jednej strony ukrzyżowanie, z drugiej publiczność jerozolimska, a środek obrazu prawie niewypełniony. Pomysł przedstawienia spółeczeństwa jerozolimskiego pod wrażeniem faktu ukrzyżowania Chrystusa starczyłby zaprawdę na wielki obraz, któryby mógł wywierać wielkie wrażenie. Lecz na takim obrazie należałoby samo ukrzyżowanie umieścić gdzieś na czwartym planie, na wysokości, w najdalszej perspektywie, wśród czarnych chmur i piorunów, a pod krzyżem tylko cienie świętych niewiast. Wtedy uczucie religijne i tradycya nie czułyby się pokrzywdzonemi, w obrazie panowałaby jedność przedmiotu i jedność układu. Wskutek samego sposobu swego powstania kompozycya nie mogła być jakby z jednego odlewu. Jest to zasadnicza, pierworodna wada obrazu, którego prawie każdy szczegół zosobna wzięty posiada artystyczną skończoność. Naprawo widza grupa właściwa — ukrzyżowanie tworzy całość dla siebie. Jest to ostatnia chwila męki najsroższej, przed zachwyceniem, przed słowami: „Panie, w ręce Twoje oddaję ducha mego”, przed uspokojeniem, po którem nastąpiło skonanie. Zboku czeka, siedząc obojętnie żołnierz z dzidą, którą ma potem bok otworzyć. W postaci Chrystusa widoczny jest tylko kurcz i ból męki. Na publiczności znajdującej się na obrazie może ta chwila właśnie mogła największe wywierać wrażenie: nas, patrzących na obraz ta chwila, tylko ludzka, musi razić. Grupa niewiast świętych pod krzyżem jest prześliczną; tylko stojący obok Jan święty, w szacie jasno czerwonej, a z twarzą suchotniczą, która miała być zapewne ascetyczną, — bardzo niepiękny. Widocznie artyście potrzebny był czerwony kolor dla lepszego odbijania innych, więc tej czerwoności nie żałował. Nalewo widać publiczność; grupa znakomita: chorąży rzymski, tłum wstrzymywany baryerą z dzidy trzymanej przez żołnierzy, bogacz żydowski na białym koniu—wszystko wyborne. Najpiękniejsze są dwie postacie uczonych w piśmie: jeden, stary, idzie zafrasowany aktem okrutnym; drugi, młodszy, towarzyszy mu, przekładając, że to musiało się stać, że tak mówi prawo, że spółeczeństwo runęłoby w przepaść, gdyby nowatorowie mogli bezkarnie obalać zakon i gorszyć lud. Widzimy na twarzach tych dwóch postaci ich dusze, usposobienia ich umysłów w chwili danej, słyszymy prawie ich rozmowę. Na samym końcu jest jeszcze jedna postać, która wpada w oczy: człowiek ryży, nawskroś nikczemny, w przestrachu ucieka z miejsca exekucyi, jakby go furye, czy sumienie gnało Utrzymują jedni, że to Judasz, tylko, że bosy, i ten nie byłby śmiał iść na Kalwaryą i czekać aż do końca. Inni twierdzą, że to postać symboliczna, że to ów „żyd wieczny“ tułacz, który rozpoczyna wędrówkę—postać zajmująca, ale niezrozumiała, a to nie jest zaletą. Między temi obiema grupami, na środku prawie pustym, są tylko podrzędne postacie. Artysta wykonał je doskonale, ale czy im się należy pierwsze miejsce? Kat zrobił swoje i odchodzi z drabiny—raczej źwierzę, niż człowiek, natura pozioma, tępa,—zawadzają mu widocznie; już odchodzi, możnaby powiedzieć ponaszemu: „Ot, na wódkę po robocie.“ Na samym froncie od dołu „jeden z ludu“, niby typ tłumu, krzykacz, fanatyk, który się wszędzie wciśnie, niewiele rozumie, ale ma instynkta dzikie i cieszy się i gapi: tem lepiej, im większa awantura. Wszystko to są postacie doskonałe, ale nie wypełniają obrazu. Możnaby wszakże taki układ wytłómaczyć. Wobec tylu zalet dzieła umysł widza pracuje nad tem, żeby wynaleźć harmonią: więc może się wydawać, że artysta umyślnie ten, a nie inny, układ dał kompozycyi, bo tylko ten myśl jego oddaje, a mianowicie: wobec męki z jednej, a tłumu z drugiej strony widzimy pomiędzy niemi istotę dziejów. Lud krzyczy sam nie wie czego, nowa idea spotyka u spółczesnych tylko prześladowanie i gwałt, więc kat; dopiero u potomnych i po męce powstaną wyznawcy i męczennicy: dlatego na drugim planie, w głębi, po za katem, widzimy jeszcze jednę postać, która tę przyszłość przedstawia. Jest to ów setnik rzymski Longinus, który w chwili męki Chrystusa doznał łaski, nawrócił się. Będzie to wyznawca, męczennik, a na obrazie widzimy jego zachwyt. Jest to niezawodnem, że taki artysta, jak Munkaczy obmyśla cały układ, opracowuje w duchu i nie wprowadza zapewne żadnej postaci bez potrzeby i celu. Czy jednak można w powyższy sposób myśli widza w obraz wkładać i dopiero kompozycyą kommentować? Może się to wydawać sztucznem podsuwaniem pomysłów obcych, których artysta nie miał, a przecież każde wielkie arcydzieło literatury i sztuki bywa wszechstronnie kommentowane, każdy wiek wykrywa w nich jeszcze coś innego, niż dostrzegły poprzednie. I jest to niewątpliwie dowodem, że mamy przed sobą arcydzieło, jeżeli ono do takich kommentarzy, do takiego rozmyslania usposabia. W końcu jednak muszę uprzedzić czytelnika, że całe to sprawozdanie o obrazie Munkaczego nie zgadza się z recenzyami dzienników i z sądem powszednim. Publiczność obrazem się zachwyca i nie znajduje w nim błędów—(lubo są, i wielkie, rysunkowe błędy). Znawcy fachowi szczegóły podnoszą, nad całością kiwają głowami; zdawałoby się, że niejeden miałby dużo do zarzucenia, ale jakoś nie ma do tego odwagi, żeby się odezwać, a zwłaszcza drukować. Najciekawszem byłoby dowiedzieć się od samego Munkaczego: coby on powiedział o powyższym kommentarzu, czy i oileby się do niego przyznał?

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Sienkiewicz Henryk: **Ogniem i mieczem,** powieść z lat dawnych wydanie drugie, przejrzane i poprawione, 4 tomy. (T. I str. 274 T. II str. 290, T. III str. 318, T. IV str. 233). Warszawa 1884, nakład Gebethnera i Wolffa, druk S. Niemiery, 12-mo.

(Dokończenie).

Przygody wojenne, bitwy, podjazdy, przekradanie się przez nieprzyjaciela, ucieczka przed nim, zniszczenie, mordy i pożogi, nie zostawiły w powieści miejsca, ani na kobiecość, ani na życie polityczne, ani na cichy byt dworu wiejskiego. Począwszy od T. II kobieta znika zupełnie, a późniejsze zabłyśnięcie Heleny jest tylko krótko trwałem i nie ukazuje nam kobiecości w dramatycznej grze życia. Żywioł męzki, wojenny, awanturniczy, nawet zawadyacki, rozpościera się po całym utworze. Szlachta bije się za siebie, za ojczyznę, ale o ojczyźnie nie myśli. Rozmów o Rzeczypospolitej, o jej niedolach, o Kozakach i czerni, o stosunkach, na które bunt się nawiązał, o spodziewanej elekcyi—niema wcale, a zaprowadzenie czytelnika do Warszawy służy na to, aby mu ukazać pojedynek Bohuna z Wołodyjowskim. Ramiona tej szlachty i serca działają, umysłowość ani drgnie. Najzdolniejszym ze wszystkich, najroztropniejszym jest samochwał Zagłoba; gadając ciągle, ma on dwie pyszne przypowiastki: jednę o kawaleryi i piechocie, drugą o szlachcie, z ust XVII w. wyrwane. Parę postaci, w głębi obrazu nakrótko ukazanych, spełnia za siebie i za innych obowiązek ciążący na umysłowości szlacheckiej; takim jest Zaćwilichowski, takim Grodzicki a nawet konający Zakrzewski. Scen, w którychby się nie zabijano, jest bardzo mało; najlepiej się przed oczy wybija przygoda w kościele lwowskim. Niekiedy cichnie nawałnica, rozstępują się chmury, widać kawałek błękitnego nieba: to liryka wpada do eposu, ale niedługie jej chwile. Przychodzi znowu niebezpieczeństwo i znowu żywiołom energii daje przewagę nad żywiołami uczucia. Zresztą ciągła nawałnica, ciągły huk i grzmot; a w przerwach, nie liryce czystej, ale malarstwu rodzajowemu, buława artyzmu się dostaje. Dawni malarze, gdy im szło o effekt malowniczości, odbijali jedne zjawiska od drugich przez kontrast, przeciwstawność; można było oczekiwać, że i w tej powieści piękno zjawiskowe wojny spotęguje się przez ukazanie ciszy i błogości pokoju. Dla pisarza tej miary, jak Sienkiewicz, nie było nic łatwiejszego nad wprowadzenie czytelnika do wnętrza dworu szlacheckiego; ale widocznie, twórczość jego nie uczuła w sobie żadnej potrzeby, żadnego popędu. Chwile zbywające od wojen, bijatyk i nadzwyczajnych zaciekawiających przygód oddał autor do rozporządzenia Zagłoby, który bawi szlachtę, drwi z Podbipięty, przeklina w pień Kozaków, rozpowiada swoje przygody na Wschodzie, kłamie na gruby kamień, a pije za sześciu, ale czy w ten sposób, jako przedstawiciel stanu szlacheckiego w pokoju, dobrze korzysta z czasu? — o tem bardzo wątpię. Wysunięcie go na czoło powieści, oddanie mu literalnie największej liczby jej kart, byłoby właściwszem w utworze, w którymby się nie przewijały wypadki tak wielkie i straszne. Powiedzieliśmy, że Zagłoba zawiele kart zajmuje w powieści; powiemy więcej: on na powieści, jako na epopei, cięży, rozrywa ją i jest jednym z głównych gwałcicieli jej właściwego poetycznego charakteru.

Powieść obyłaby się bez niejednej przygody, którą w niej znajdujemy; tak naprzykład zbyteczną wydaje nam się cała jazda Jeremiego do Warszawy. Bohuna można było zetknąć z Wołodyjowskim na drodze z Zamościa, a z miejsca w inny sposób skorzystać. Zaskoczenie Zagłoby przez wesele chłopskie a później przez Bohuna, zamknięcie szlachcica w chlewie, nie wynagradzają czytelnika, materyalną nadzwyczajnością swoją, za utracone psychologiczne motywa, jakie rozwijać się musiały, choćby tylko w duszach Skrzetuskiego, Heleny lub Bohuna. Pewna zamaszystość rysunku nie pozwoliła autorowi zachować właściwej miary w charakterach. Pomijamy to, że Skrzetuski na Siczy, pod Żółtemi Wodami i w Korsuniu, nie daje się już dostrzedz w Skrzetuskim późniejszym: formy jego rozpaczy nad pogorzeliskiem Rozłogów są trochę teatralne. Myśl, że mimowoli przyczynił się do nieszczęścia przez oswobodzenie Chmielnickiego, powinna była odrazu przyczepić się do wysłańca księcia Jaremy, aby właśnie zpoczątku być najsilniejszą — jak zwykle dzieje się z podobnego rodzaju wyrzutami sumienia. — Zagłoba tak już okłamał szlachtę, że ją zupełnie ogłuszył, uczynił niezdolną do najmniejszego zaprzeczenia; nawet palące kłamstwa przechodzą mu bezkarnie. Szlachta nie daje niczem poznać, że nie wierzy, nie zdradza się nawet z domniemaniem rzeczywistej wartości człowieka. *Miles gloriosus*, samochwał i ostatecznie tchorz w bitwie, odważny tylko w awanturze, gdzie można przytomnością umysłu i bezczelnością nadrobić, postać tak wstrętna dla rycerza, dla każdej duszy bohaterskiej, w tych rycerzach księcia Jaremy nie obudza żadnego wstrętu, nawet drwin; lubią jego towarzystwo, słuchają go, nie czują, że kłamie i tchórzy. Przełamanie Zagłoby, pijaka i kłamcy, w Zagłobę rozpaczającego po Helenie, jakoby zamordowanej w klasztorze Dobrego Nikoły, żadną logiką usprawiedliwić się nie da, dla żadnego celu nie było potrzebnem. Jest to szczery

błąd, wynikły tylko z owej zamaszystości, która nie dała ściśle charakterów określić i wynikliwie przez wypadki przeciągnąć. Większa jeszcze krzywda stała się Podbipięcie, którego prześliczna dusza przez uporne trzymanie się owych trzech głów przodka Stowejki, ściąga na siebie śmieszność. Dla takiego czystego, anielskiego bohaterstwa, potrzebne było przynajmniej *minimum* głowy ludzkiej, intelligencyi: inaczej anielstwo może mieć tylko znaczenie ironii. Podbipięta jest człowiekiem tak już ograniczonym, że trzech słów nawet złożyć nie zdoła. Zagłoba ciągle się z niego natrząsa—i ma wielką słuszność, ale nie ma słuszności autor, które mu na to pozwala. Literalne ścięcie trzech głów wielką machiną wojenną dawnych wieków mogło być marzeniem Podbipięty przed zakosztowaniem krwi, przed wszystkiemi świetnemi czynami bojowemi, jakie spełnił pod Konstantynowem; później takiego marzenia mógł się trzymać tylko jakiś młodzieniaszek lub maniak, a właśnie Podbipięcie, który tak wierzy, tak walczy i tak umiera, nie wolno być ani maniakiem, ani młodzieniaszkiem z ducha. Cięcie koncerzem w beluardę kozacką pod Zbarażem jest prostą naiwną zabawką, a nie czynem poważnej twórczości.

Opisami bitew jaśnieje ta powieść. Ze stanowiska techniki wojennej, znajdzie zapewne specyalista niejedno do zarzucenia; przypuszczamy, że i badacz historyczny nie na wszystkie szczegóły się zgodzi: grzechy jednak jakich pod obu temi względami dopuścić się mógł autor, są raczej uchybieniami ubocznemi: powieści samej, jej malowniczości, nie przynoszą krzywdy.

Gdybyśmy mieli historyą swych wojen, swej wojskowości—a wstyd ciężki, że jej nie mamy—zadanie powieściopisarzów byłoby znakomicie ułatwionem; dziś jest ono bardzo trudnem. Historyczności w głównych tylko rysach wymagać można, a oile nam wiedza nasza starczyła, nie dostrzegliśmy nigdzie w tych głównych właśnie rysach przeniewierzenia się prawdzie. Poważny zarzut spotkać może autora tylko za oznaczenie miejscowości bitwy pod Żółtemi Wodami. Badania przeprowadzone przez miłośnika przeszłości p. Maryana Dubieckiego, podane w tomie XII *Rozpraw i sprawozdań wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności*, nakazują dziś już zerwać z domniemaniem, jakoby Żółte Wody leżały bliżej Dniepru, a pochód Stefana Potockiego miał kierunek równoległy z biegiem rzeki. Pobojowisko klęski leży istotnie daleko od Dniepru, a ztąd pobudki działania w dowództwie polskiem nie mogły się osnuwać na łączności strategicznej z oddziałem Krzeczowskiego. Ostatecznie, bitwy jako wytwory powieściowe są znakomite, a w nich poruszanie massami, przerzucanie ich, nacieranie i łamanie się jednych o drugie, mniej przedstawia plastyczności niż rozprawy pojedynkowe, występujące żywo, gorąco, z całem bogactwem ważących się kolei i zasobnością pomysłów, które wydają z siebie ciągle zjawiska imponujące lub niespodziewane. Obrazowość tych opisów przechodzi wszystko, cośmy w tym rodzaju mieli w literaturze naszej. Nie potrzebujemy wybierać pojedynczych przykładów: wszystko tu jest zajmujące i piękne. Oblężenie Zbaraża samo przez się, oddzielone od powieści, stanowi arcydzieło. Jakże umiejętnie skorzystał autor z ówczesnych obyczajów wojennych i ówczesnego ducha! Oto patrzymy na processyą pod gradem kul, widzimy księdza Jaskólskiego z rusznicą w ręku, gdzieś w samotnej baszcie strzelającego do Tatarów, umyślnie, aby nie strzelać do chrześcijan; słyszymy narzekania szlacheckie na herezyą Firlejów i ostre docinki wymierzone ku ministrowi protestanckiemu; a oto i Podbipięta padający od strzałów tatarskich, wśród litanii, swoją „Królową Anielską“, przypominający „Różę złotą“ Słowackiego; potem na widok ciała męczeńskiego rzuca się bohaterstwo i wyrywa je z rąk nieprzyjaciół; a potem odbywa się ten pogrzeb cudowny z kazaniem księdza Muchowieckiego, odbijającem w sobie całą naiwność i religijny materyalizm wieku—a trzymanem stylu, nad który nic doskonalszego wymyśleć niepodobna (T. IV, str. 162 i). W podobnym stylu umierał także i stary Zakrzewski (T. I, str. 92).

Styl Sienkiewicza nosi w sobie tajemnicę tego zajęcia, jakie wzbudza powieść. Same nadzwyczajności odskakujące od szarej płaszczyzny dzisiejszego życia, samo naprężenie wypadków dla obudzenia ciekawości i niepokoju, nie wystarczyłoby dla takiego wrażenia, jakie powieść ta, mimo wszystkich wad swoich, tak wytkniętych piórem, jak i w samowiedzy umysłu pozostałych, sprawia i sprawiać musi. Sienkiewicz umie dać złudzenie rzeczywistości, a w malarstwie czysto-rodzajowem, naiwnem, któremu zawdzięczają byt swój postacie Zagłoby i Rzędziana, wzniósł się do takiego odczucia prawdy i artystycznego wykończenia form, do jakiego tylko wyższy talent dotrzeć może. W stylu tym niema metafor, niema poetyczności w samych wyrazach zamkniętej; ale jest jędrność, zwięzłość, dosadność—i ta wielka przejrzystość, która i wypadki przez autora opisywane i mowy samych działaczy powieściowych ukazuje w świetle wiarogodności nieposzlakowanej, zbliża czytelnika do przeszłości, daje mu czuć gorący jej oddech i z rzeczy umysłowej, jaką jest utwór, czyni rzecz prawdziwą, jaką było życie samo. Wszystkiego nauczyć się można, ale taki dar zamieniania pomysłów w żywe istoty i żywe wypadki, trzeba już przynieść ze sobą: może on być zmysłem rzeczywistości umiejętnością naśladowania jej, żądzą i potrzebą uplastyczniania człowieka w jego kształtach statycznych i dynamice wewnętrznej: będzie zawsze zdolnością twórczą, niedaną pospolitym naturom. Ta zdolność rodzi się z nieokreślonego uczucia, które popycha przedewszystkiem do życia, jako *typu*, jako wielkiej zagadki natury—i każe ją z łona tej natury wyrywać. Jest to jakgdyby pierworodne ustosunkowanie się umysłu, obserwacyi i imaginacyi, do świata zewnętrznego: będzie ono już w dziecku, jeżeli ma być kiedyś w człowieku, w sile już do działania dojrzałej. Na takich usposobieniach wrodzonych opierają się talenta i przez nie tylko wyrozumieć się dają. Jednemi i temisamemi wyrazami operują wszyscy piszący, na jednej i tejsamej klawiaturze gra i mistrz i niedołęga; tajemnica wyższości, nie w materyale, nie w środkach zewnętrznych, ale w sile nurtującej wnętrze człowieka, i będącej jego rzeczywistym demonem.

Nie bylibyśmy sprawiedliwymi dla stylu autora, gdybyśmy, charakteryzując go w powyższy sposób, jako odczuwanie rzeczywistości, nie dodali zaraz, że umie on i idealne obrazy mowy z siebie wydawać. Szczególniej w opisie krajobrazów, zjawisk natury, tam zwłaszcza, gdzie w braku obserwacyi musiała przychodzić z pomocą imaginacya, są wyrażenia obrazowe a szczęśliwe. Najwięcej ich jest w T. I; w dalszych natura zewnętrzna kryje się przed człowiekiem, aby wystąpić dopiero w T. IV, w opisie pobojowiska i burzy podczas szturmu (str. 82 i 96). Obraz Nienasytca (T. I, str. 156 i 7) daje poczucie majestatu porohów; ciemność w stepie, rozpoczynająca powieść, obywa się dobrze bez większego realizmu. Ciała ludzkie „wijące się jak ryby” na brzegu rzeki (T. I. str. 162), malowniczość bitwy pod Machnówką, stepy grające od ptactwa (T. III, str. 300), „twarz Jeremiego pogodna jak niebo” (T. IV, str. 55), Podbipięta „wpadający jak orzeł na stado białych pardew” (tamże, str. 69), artylerya niebieska bijąca w padół ziemski (str. 97), widmo olbrzymie Jaremy ukazujące się Kozakom (str. 114) — dowodzą imaginacyi zdolnej do porównań i przenośni. Oczywiście, przytaczamy tu tylko przykłady, nie wyliczając wszystkiego, co się pod uwagę nastręczyło.

Osoby rozmawiające w powieści przeplatają często wyrazy polskie ukraińskiemi: dzieje się to bez planu, bez ścisłego porządku, a podobno nawet stało się z uchybieniem prawdzie, w czem piszący te ocenę sędzią być nie może. Zdaniem jego, tylko przysłowia i wyrażenia nawykowe miałyby prawo do wpadania w szeregi mowy polskiej. Tożsamo stosuje się do okrzyków w chwilach głębokiego odczuwania wrażeń, w gniewie, w boleści, w niebezpieczeństwie, w chwili konania. Poza temi warunkami powinna panować jednostajność brzmienia. Wiąże się z tem i sprawa pieśni śpiewanych w powieści; przy niewielkiej liczbie, wybór ich jest wogóle nieosobliwy, a w T. II, na str. 197 niczem nieusprawiedliwiony: ani to piękne, ani charakterystyczne, ani wiarogodne. Zamiast tych ukraińskich zacinań lepsze były wyrażenia szlacheckie z XVII w., jakich zbyt mało w powieści spotykamy. „Rzucić klimkiem“, „w konie!” „w piętkę gonisz”, „popsować” są bezwątpienia dosadne, ale nie wystarczają. Charakterystyka epoki, w zwięzłe wyrażenia ujmowana, godna jest takiego stylisty, jak Sienkiewicz, (ob. T. I, str. 251, 253; T. II, 279; T. III, 125, 231; T. IV, str. 81 i 2). W języku nie znać delikatnej staranności, a może jest jakaś maniera, której pochwalić niepodobna: „każd*en*“, „któr*en*“, „nijaki“, w znaczeniu „żaden“, „trosk*ów*“, „Konstantyn*u*“ i t. d., zasługują na naganę. *Genius loci* niechaj żyje w wyrażeniach, w przysłowiach, w maxymach, a nie w wybrykach językowych, których nic uprawnić nie zdoła.

Pomijając wszystkie wady kompozycyi, która nie okazuje obmyślenia i ześrodkowania i widocznie powstawała dorywczo; uważając powieść, nie za epos skończone, ale za szereg epizodów eposowych, obracających się naokoło osi wiekich wypadków 1648—51 r.; biorąc rzeczy jak są, i nieuciekając się do porównań, których dowodowej siły najwspanialsza retoryka nie spotęguje; zamykając się w sferze rzeczywistych faktów artystycznych, ujemnych i dodatnich — uważamy powieść Sienkiewicza za utwór, który jest i będzie i pozostanie już w literaturze naszej. Jest to dziś najwybitniejsze dzieło w kierunku, któremu zarówno życie jak literatura najuczciwszej i najwytrwalszej wiary dochowywać powinny, dzieło zupełnie oryginalnie odczute i oryginalnie wykonane—nie robota, ale rzeczywisty utwór. Gdyby nie wady kompozycyi, z rozproszenia i niepewności wynikające, a na pierwszych już kartach powieści widoczne; gdyby nie zbytnie przywiązanie do rzeczy mniejszej, jaką jest nadzwyczajna, zaciekawiająca przygoda, ze szkodą większej, jaką powinno było być rozwijanie się dusz w ruchu i działaniu; gdyby nie ta wątłość kolumny pacierzowej, wyżej zaznaczona: powieść *Ogniem i mieczem* przy stylu autora, przy jego talencie, wykształceniu i powadze, jaką umie zachować wobec przeszłości—byłaby dziełem pierwszorzędnem w literaturze, nietylko naszej, ale i powszechnej.

Stanisław Krzemiński.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Grudniu 1884 r.

Jeszcze słówko o kobietach. — Kapłanka sztuki i kapłanka radykalizmu.—Pani Sembrich-Kochańska; jej powodzenie i wziętość w Paryżu; jej wdzięk jako kobiety i Polki.—Przepowiednia Kraszewskiego o jej przyszłości.—Więzień Magdeburski i nowy proces.—Agencya tajemnych informacyi w Paryżu.—Pani Janina Hugues, żona posła z Marsylii. — Zamordowanie agenta Morina. — Przebieg tej sprawy. — Tutaj i u nas. — Pani kapitanowa Sztoflicowa i jej sprawa honorowa z Turkułem.—Nowe książki: *Wspomnienia o Lamartine'ie.* — Przykre wrażenie, jakie sprawiają.— *Historya Akademii za czasów Dyrektoryatu* przez Juliusza Simon'a.

(Dokończenie).

Po dopełnieniu tego morderstwa wróciła p. Hugues spokojnie do męża, który uściskał ją z radością, wołając: „Dobrześ zrobiła, Janino! Teraz będziesz spokojną.“

Poczem odwieziono Morina do szpitala, który mu pewno niewiele pomoże. Strzał w głowę strzaskał część czaszki; pani Hugues'owa zaś osadzona została w więzieniu St. Lazare, gdzie czeka powołania przed sąd kryminalny.

— *Et nunc, erudimini, intelligite.*

Zesuwamy się powoli na poziom amerykańskich obyczajów. Częstokroć tutaj dosyć jednego przykładu, aby się znaleźli zaraz naśladowcy. Mrowie przechodzi, gdy się pomyśli: czego to nie dokaże płeć piękna, z rewolwerem w ręku! Ona już i bez niego tyle umiała dokazać, iż Polak musiał przyznać: *my rządzim światem—a nami kobiety!*

Te awantury politykującego poety przypominają

tego, który stał długo na widowni świata, uwielbiany, czytany, sławiony, aż póki, sprowadziwszy swój rydwan na pełną przepaści drogę polityki, nie wykoleił się szkaradnie i nie zagrzebał nieszczęśnie pod resztkami połamanego tryumfalnego wozu.

Nowa książka *Wspomnienia o Lamartine'ie* („Souvenirs sur Lamartine", par Charles Alexandre), przypomniała nam boleśnie starego poetę. Już zapomniany dziś prawie śpiewak *Medytacyi* i *Jocelyn'a* znowu stanął przed nami, dzięki świerzbiączce pióra dawnego sekretarza swojego, p. Karola Alexandre'a. W tym dziwnym składzie dwóch imion, trudno na pierwszy rzut oka znaleźć nazwisko: czy Karol? czy Alexander? jedno tak wielkie, jak drugie. Ale w końcu pokazuje się, że Alexander jest nazwisko autora. Był to ostatni sekretarz Lamartine'a i, z najlepszą zapewne chęcią, ale dosyć niezręcznie, rozpowiada nam szeroko ostatnie lata życia poety.

Lepiejby było i dla człowieka idla poety milczeniem pokryć ten bolesny ostatek — wcale nie poetycznych przełomów i przewag ducha. Oto mamy te karty, na których ubóstwiający niegdyś sekretarz dziś przedrzeźnia, aż co do samego stylu, dawny swój ideał. Wstręt jakiś ogarnia czytelnika na widok poety rozebranego aż do koszuli. Chciałoby się zawołać na niezręcznego sekretarza: — „Daj pokój tym zaparawanowym wspomnieniom. *Mortuis oscula pacis!* [1])".

Historya i potomność mniej się rozczulą jeszcze może, niżeli współcześni, nad losem Lamartine'a, którego niemiłościwy pan Alexandre pokazuje nam, jakby zeschłą, zasuszoną mumią, znalezioną gdzieś w nasypach ziemi i głazów, które się oberwały z Helikonu. Dziś już nie rozrzewnia nas to wcale, kiedy p. Alexandre, ze łzami—czy prawdziwemi tylko?—powtarza nam urywki tych frazesów, podrażnionego długami wielkiego pana i wieszcza: „Odtąd będę im dawał perły rozpuszczone w kielichach Kleopatry, aby mogli obmywać niemi nogi swych koni".

Co to ma znaczyć, ta czcza stylistyczność, te górno-brzmiące a fałszywe retoryczne formuły? Jeżeli prawdziwe, to doprawdy płakać-by chyba potrzeba wraz z p. Alexandrem, a jeśli zmyślone przez sekretarza, to głupie i śmieszne.

Po sprzedaniu jednej ze swych trzech posiadłości: rodzinnego zamku w Monceau, poeta tak się odzywa:

„Sprzedałem łóżko mej matki.... Nienawidzę powietrza, którem oddycham! I zbawiaj-że tu ojczyznę!"

Książka p. Alexandr'a zaczyna się właśnie od tego momentu życia Lamartine'a, kiedy poeta chyli się już do upadku. Twierdzi biograf, że Lamartine opierał się gwałtownie, i dlaczego? ustanowieniu regencyi Księżny Orleańskiej: chciał zachować władzę dla siebie. Dlatego-to wynalazł owo wyrażenie, które obiegło Francyą: „Rewolucya 1847 r. *to rewolucya wzgardy*" (du mépris).

I tu serdeczny powiernik najskrytszych myśli opowiada nam, jak Lamartine cały kraj przewrócił, dlatego, że król Ludwik Filip odmówił mu laski marszałkowskiej.

Przed rewolucyą—pisze p. sekretarz, zabawiający się nietylko w biografią Lamartine'a, ale w historyą i politykę Francyi — siedział poeta na najwyższej ławce prawicy, prawie u sufitu, w chwili niezadowolenia przesiadł się na ławy oppozycyi, a do tych, którzy d. 24 Lutego wahali się: czy iść na owe sławne bankiety — „*cielęciny z sałatą*",—woła, jakby natchniony:

— „To pójdę ja sam—z mym cieniem!"

Lamartine istotnie to powiedział: słowa są historyczne. „Te słowa straszliwe!—zawołał w swoim czasie kiądz Dupanloup — pozostaną na wieki. Lamartine powstrzymał chwilowo burzę, którą sam był wywołał—i godzien też za to być uwieńczonym laurami, ale zarazem i godzien być rozstrzelanym!"

Pan Alexandre wzdycha dalej i mówi: — „Lamartine był to ubóstwiany geniusz, starożytny prawdziwie Apollon. *Incessu patuit Deus* [1]); patrzyłem nań ciągle w zachwyceniu".

Jeden z jego wielbicieli przecież powiedział bardzo sprawiedliwie: — „Podziwiam i kocham poetę, w tej złożonej istocie nazwanej Lamartinem, ale nie mam prawa przebaczyć, nawet po latach trzydziestu, temu, kto męczy swą matkę-ojczyznę. Nawet trzecia rzeczpospolita, której on jest potrosze dziadkiem, postawi może pomnik aktorowi z Rozmaitości, Gil-Perez'owi, prędzej niż Lamartine'owi".

Ta część książki, w której p. Alexandre wspomina przyjaciół ostatnich dni Lamartine'a, jak wszystko, co się tu znajduje, ma to podwójne oblicze: śmieszności i tragicznych grymasów. W ogólności wzmianki o współczesnych literatach i artystach nie są zbyt pochlebne, a może i nie dosyć bezstronne. Sekretarz, widocznie, pragnął mieć udział w blasku i wielkości swego pana.

Lamartine, który uchodził zawsze za opiewacza płci pięknej, w ostatniej epoce swego istnienia, według p. Alexandre'a przynajmniej, bierze zupełny rozbrat z kobiecym nastrojem swej lutni. Wierny i ścisły biograf przytacza nawet dosyć zabawną przygodę.

Jednego dnia Lamartine otrzymał list od kobiety, widocznie pełen zachwytu. Zwracając się do sekretarza, w te słowa przemówił: „Uwielbia mnie tu jakaś kobieta, pójdź ją odwiedzić—na mojem miejscu". Pan Alexandre wyznaje otwarcie, że nie poszedł, i dobrze zrobił, bo korrespondentką była prawdopodobnie jakaś stara już muza. Całe życie opiewać kobietę, dla niej stanąć potrosze w przeciwieństwie z Kościołem, jak to uczynił poeta w *Jocelynie*, i skończyć na tem, aby się wyręczać sekretarzami wobec wielbicielek: to już prawdziwy szczyt zawistnego losu!

Najsmutniejszą stroną tego obrazu wspomnień z przeszłości poety są długi i niedostatek — ma się rozumieć, niedostatek względny. Dotąd utrzymywała się legenda opiewająca, że pierwszy dług zaciągniony przez Lamartine'a na sławną podróż na Wschód — trzy kroć sto tysięcy franków!—nie wypłacony nigdy, narastając procentami od procentów, po latach trzydziestu doszedł do summy dwóch milionów i pochłonął, nietylko całą fortunę poety, ale nawet wszelkie przyszłe dochody i sperandy. Pan Alexandre twierdzi przeciwnie, że wszelka niedola finansowa w domu Lamartine'a, pochodziła z hojności nieopatrznej i z rozrzutności zamiłowania wystawności w życiu. W domu pod Nr 42 przy ulicy Uniwersyteckiej, właśnie kiedy długi dokuczały najbardziej, poeta miał w swym przedpokoju czterech galonowanych lokai! Aby zastąpić jednego ze swych przyjaciół, będącego w biedzie „zpowodu miłosnych awantur", Lamartine, zadłużony już po uszy, doręczył swemu sekretarzowi 2,4000 franków na zapłacenie krawca tamtego hołysza i sowizdrzała.

Prowadził z sobą do Ischii, całą karawanę przyjaciół, dając niektórym, na drobne rozchody podróży, po 1,000 fr. zapomogi.

Lamartine wierzył przytem w poczytność i pokup swych dzieł i ogromne summy wydawał rok rocznie na wydawnictwa. Utrzymanie zbytkowe trzech zamków: Milly, Saint-Point i Monceau, pochłaniało bajeczne summy. W końcu narodowa subskrypcya przyniosła tylko dwakroć siedmdziesiąt tysięcy franków—tylko! Agent wysłany w tym celu do Ameryki przywiół 5,000 fr. i—20,000 rozchodu. Czytelnicy pozostali poecie wiernymi—i wciągu lat trzydziestu wypłacili wydawcom i samemu autorowi ogólną summę 4,000,000, wyraźnie czterech milionów franków.

Wszystko to jest napół wstrętne, napół śmieszne, ale koniec, ale śmierć samotna, opuszczona prawie, uderza swojem jakby bezbarwnem i oschłem zaniedbaniem. Pan Alexandre wyznaje, że co do religijnych uczuć poety ma wielką wątpliwość w sercu. Dzięki tylko, powiada, poświęceniu synowicy wszystko się kończy porządnie i ten stary wieszcz, schodzący do grobu, umiera jak chrześcijanin i katolik. Wiążą się z tą sprawą religijności poety słowa przytoczone przez pana Alexandre'a, a powtarzane jakoby często przez samego poetę: „Ci księża przeszkadzają subskrypcyi narodowej! Księża mnie zabijają!"

Mówiąc o śmierci, o pogrzebie. „Niech ich dyabli porwą!—złorzeczył - z ich officyalnemi mowami! Niech mi dadzą pokój z suchemi chustkami swemi wyciąganemi do płaczu z wyszywanych fraków." Alluzya do akademickich mundurów: to też, jeden tylko Alexander Dumas i a z nim Augier towarzyszyli poecie w ostatniej podróży do grobu w Milly.

Słowem, jak mówiłem, wszystko to jest smutne i wstrętne. Niema tu ani jednego rysu, któryby rzucił piękne i jasne światło. Przeciwnie, ostatnie złudzenia znikają, a człowiek tak maleje, tak się zniża w tym obrazie, że pisarz, zdaje się jakby z namysłu, obdziera go z ostatnich łachmanów wielkiej przeszłości. A przecież daje się słyszeć z taką czcią niby, z takiem uwielbieniem dla swego bohatera! Tu się dopiero sprawdza maxyma życia, że niezręczny przyjaciel gorszy jest nawet od najrozumniejszego wroga: tamtego można się ustrzedz; można mieć kamień za pazuchą; z tym iść musisz ręka w rękę. My wyborne mamy na to przysłowie: „Lepiej z mądrym zgubić, niżli z głupim znaleźć".

W Akademii Francuzkiej odbyły się wybory d. 4 Grudnia. Były trzy wakujące fotele: po p. Mignet'cie, po Janie Chrzcicielu Dumasie, sławnym chemiku—i po p. d'Haussonville'u. Wybrani zostali: Victor Duruy, dawniejszy minister oświecenia za czasów cesarstwa, autor znanej *Historyi Rzymskiej*; Józef Bertrand, znakomity matematyk, i Ludwik Halevy, znany i wzięty powieściopisarz, autor, między innemi, *Księdza Konstantego*, o którym mówiliśmy w swoim czasie. Dwaj pierwsi wybrani byli już oddawna członkami Instytutu, dziś przeszli tylko, jakby do wyższej i ostatniej klassy, zostając nadal członkami tych akademii, w których zasiadali dotychczas.

Te akademickie wybory przywodzą na myśl nową książkę Juliusza Simona pod tytułem: *Akademia z czasów Dyrektoryatu*, (Une Académie sous le Directoire). Jest to piękne studyum i ciekawy obraz tych zmąconych czasów, gdy nawet uczeni—i tak poważne ciało, jak akademia, musiała tańczyć sarabandę i maszerować w szeregach rewolucyi.

Dobrze nam to maluje autor, kiedy powiada: „Przysięga nienawiści dla władzy królewskiej, była podczas Rewolucyi formalnością, której wymagano od wszystkich, od członka Instytutu, jak równie od proboszcza parafii, kiedy się znalazł proboszcz. Polecano ci wykładać historyą starożytną, geografią lub chemią: przedewszystkiem musiałeś złożyć przysięgę nienawiści dla władzy królewskiej; był to nieuchronny początek wszystkiego, i nie można było zostać urzędnikiem lub uczonym, tylko pod takim warunkiem."

Trzeba dodać wszakże, iż większa część tych „przysięgających" i tych królobójców, w kilka lat później znajdowała teżsame wspaniałe gesta, i teżsame przekonania głębokie, przy składaniu przysięgi cesarzowi, wymaganej tu również od wszystkich akademików, senatorów, prefektów, od każdego, kto żył. Przysięgano na wszystko, co się spodobało Jego Cesarskiej Mości.

Książka Juliusza Simona, napisana pięknie, pełna jest szczegółów i uwag nad tem, co się działo w owe dziwne czasy; jest to jakby artystyczne odbudowanie jakichś odgrzebanych Pompejów. Portrety i szkice wybitnych figur z tej epoki spotykają się tu na każdym kroku. Niema wcale rozmyślnego pochlebstwa, ale też niema i dziwolągów.

„Akademia Francuzka—powiada autor—miała zdawiendawna i zawsze mieć będzie licznych nieprzyjaciół, jak wszystkie akademie na świecie; rzecz to bardzo prosta. Pisarze we Francyi dzielą się na dwa stronnictwa: ci, którzy pragną otrzymać wejście do Akademii i ci, którzy nie mają nadziei otrzymać go, albo nawet, idąc jeszcze dalej, mszczą się za to, iż go otrzymać nie mogli."

I to wielka prawda—jak również słuszne są uwagi, co do wyborów, które i dziś są teżsame,

1) „Umarłym (należą się) pocałunki pokoju".

1) Wergiliusza *Incessu patuit Dea* — znaczy: „W wystąpieniu swem okazała się boginią".

i mogą być zastosowane równie do ludzi przeszłości, jak i do znakomitości dzisiejszych.

„Pomijanie zasłużonych przy wyborach do Akademii rzadko się wydarza i zawsze prawie da się usprawiedliwić. Nie Akademii-to ani królowi nawet należy przypisać pominięcie Molière'a— narzucił je duch czasu. Ci, co krzyczeli na wybory, w których odsunięto Jana Jakóba Rousseau'a, zapominają, albo udają, iż zapomnieli, że Akademia otwiera swoje podwoje tylko tym, którzy przychodzą kołatać do nich. Nikt nie może zgadnąć, jakby Rousseau przyjął swój wybór do Akademii, albo raczej każdy to wie: był by on rad niezmiernie być obranym — i rad szczególnie, że mógłby tego nieprzyjąć i napisać, nieprzyjmując, jeden ze zwykłch swych listów obelżywych."

Ale nie chcę przedłużać, choć tak miłych, wyciągów uczyniłem to, bo książka sama; jest tego rodzaju, że rozbierać jej nie można. Wszystko tu zależy na skrzętnie i sumiennie zebranych szczegółach, na porządnie skreślonym obrazie całości, na umiejętnie wyprowadzonych na scenę osobistościach—i na owej przejrzystej jasności stylu, która jest jedną z pierwszych zalet pisarza i mówcy.

Y

ODCZYTY KOBIET W ANGLII.

(Dokończenie).

Na *kongressie nauk społecznych*, który we Wrześniu roku bieżącego zebrał się w Birminghamie, występowało z odczytami w sekcyach różnych kobiet siedm, czytając: w *sekcyi dobroczynności publicznej*: siostra sympatycznie dla nas usposobionej tłómaczki Mickiewicza, miss Karolina Biggs, „o obowiązkach kobiety, jako gminnej, lub cyrkułowej opiekunki ubogich." *Wsekcyi karnej represyi zbrodni* miss Davenport Hill: „o prawach rządzących szkołami moralnie zaniedbanych dzieci", w *sekcyi edukacyjnej* miss Sara Harland: „o kształceniu kobiety do zawodów technicznych"; w *sekcyi zdrowia* Mrs. Dale „o sanitarnej działalności stowarzyszenia kobiecego w Birminghamie"; w *wydziale sztuki* Mrs. Kendel „o teatrze z jego wpływami na moralność społeczną"; w *wydziale opieki nad dziećmi* Dr. Elżbieta Hoggan „o stanowisku matki w rodzinie"; Mrs. Elmy „o billu dzieci z 1884 r., w którym występuje po raz pierwszy kwestya praw matki do takiej opieki nad dziećmi po śmierci męża, jakie mąż ma nad niemi po śmierci żony."

W londyńskiej sali odczytów na South Kensington Mrs. Fletcher czytała:

Miłość w dworku [1]).

Odczyt ten, trwający przeszło godzinę i mający ustępy całe czysto miejscowego interessu, da się jednak tak streścić w założeniach swoich moralnych:—Nie jest prawdą, aby *miłość w dworku*, to jest miłość w warunkach miernego bytu, istniała tylko w fikcyi poetycznej: człowiek kocha i kochać i potrzebuje na wszelkim szczeblu pozycyi społecznej; ale temu zaprzeczyć nie można, że pewien materyalny kierunek dzisiejszych czasów staje się przeszkodą, do tego, aby i miłość ludzi niebogatych była szczęśliwą i uszczęśliwiającą. Rozwój cywilizacyi materyalnej budzi pragnienia; nawyknienie do komfortu rozleniwia i odbiera tę niezawisłość od okoliczności: od wyższego lub niższego stopnia zamożności, którą posiadał człowiek przy większej prostocie obyczajów. Czy to jest przecież postępem, lub cofnięciem się w tył pod względem moralnym? Czy to jest postępem lub cofnięciem się w tył pod względem możliwie szczęśliwego istnienia człowieka w towarzystwie?

Ekonomiczne warunki pracy tak się ułożyły, że przecięciowo człowiek młody z klassy średniej, która potrzebuje pracować na życie, nie otrzymuje przed rokiem trzydziestym wyższego za tę pracę wynagrodzenia nad to, co dla rodziny starczyć może jedynie na skromne istnienie w dworku, to jest na życie miernych wygód, miernego używania, a często nawet pewnych braków i poważnych trosk o jutro, jeżeli nie odłoży się nic na czarną godzinę wypadków nieprzewidzianych, jak zmiana zajęcia, choroba, konieczność wydatku, niezamieszczonego w stałej rubryce rozchodu. Ten dochód mierny (Angielka stawia tu cyfrę wysoką, jak na nasze stosunki 500 funt.), może się podwoić dopiero za lat dziesięć, to jest gdy ów pracownik będzie już człowiekiem czterdziestoletnim tymczasem zaś, pozostając samotnym kawalerem, ma za co elegancko mieszkać, elegancko się ubierać, dobrze jeść i bywać w tych towarzystwach doborowych, które odpowiadają jego zamiłowaniom i nawyknieniom do wyższej ogłady obyczajów, do przyjemności artystycznych i intellektualnej wymiany myśli. Ale serce nie sługa i nie zna co pany, rządzące nami w postaci banknotów, więc młodzieniec może poznać kobietę, której urok pociągać go będzie, może zapragnąć połączenia się z nią, małżeństwa, i wtedy wybierać musi między jednem a drugiem szczęścia pojęciem.

Musi wybierać i musi zbadać się, niepowierzchownie, czy potrafi bez żalu uczynić ofiarę z tych różnych przyjemności, z któremi człowiek żonaty w warunkach miernej zamożności rozstać się potrzebuje. Dalej: czy potrafi się zgodzić z temi wszystkiemi dolegliwościami, jakie spotykać go muszą wśród rodzinnego życia w dworku? Prelegentka z wybornym humorem wykazuje owych dolegliwości formy rozmaite: przydymiony obiad, dziecko płaczące, przez ścianę jego gabinetu, żonę, która w chwili jakiejś wizyty jaśnie wielmożnych nie może się ukazać, jak wykwitna dama, i ma kłopot z synkiem, który się czepia jej fartuszka—ale ostatecznie żąda ona poważnie cnót bardzo szlachetnych, których tu trzeba, aby życie wśród mierności pędzone mogło pozostać szczęśliwem.

Trzeba tu powagi myśli, która nad próżność podnosi, trzeba prawdziwej siły uczucia, która ofiarę z małych wygód, z małych używań życia za nic liczy, w porównaniu ze słodkiemi rozkoszami serca; trzeba nie być sybarytą, nie być egoistą, człowiekiem próżnym, człowiekiem materyalnym: a wtedy tylko cel osiągniętym być może.

Gdy młodzieniec sam się tak zbada, gdy z ręką na sercu odpowiedzieć może za siebie w przyszłości małżeńskiego życia, należy mu z kolei zbadać podobnie ukochaną kobietę. Czy nie próżna, nie pyszna tak, że jej trzeba zrównać jednym, a od drugich nigdy niżej nie pozostać? Czy nie kokieta, która musi mieć wielbicieli i salon do popisu? nie lekkomyślna i ztąd uważająca zabawę za niezbędną przynależność życia, obliczonego więcej na przyjemność, niż na obowiązek? Jeśli kochający młodzieniec nie zobaczy tych wad, a w ich miejsce dostrzeże serce tkliwe, umysł wykształcony, zdolność zadawalania się szczęściem z żywiołu uczucia powstającem; jeżeli szczególniej ta wybrana jego serca kocha go—kocha rzeczywiście, nie przez kaprys i poryw chwili, nie przez chęć niezależności, którą zamężcie daje—i jest przez tę miłość przygotowaną do skromnego, cichego, pracowitego istnienia w rodzinie: niech podadzą sobie ręce, niech przysięgną sobie wobec Boga i ludzi, że w złej czy dobrej doli nie opuszczą się aż do śmierci!

— Będą szczęśliwi! Angielska prelegentka ręczy za to.

— Będą użyteczni — dodaje —Spełnią dobrze rodzinne człowieka zadanie, wychowają uczciwe, i do podobnego szczęścia w miernym stanie uzdolnione dzieci—*będą ciepłem w łonie narodu.*

Ale niema na świecie cięższej doli nad małżeństwo w podobnych okolicznościach, gdy się na zasadzie omyłki zawiera. Wszystko tu dzieli, a nic nie łączy, wszystko drażni, a nic nie łagodzi, złe potęgując a dobremu ujmując mocy. Autorka słowa tej przestrogi zwraca do stosunkowo bardzo młodych i ztąd lekkomyślnych, własnej natury, własnego serca jeszcze nieznających dziewcząt, lub panien podstarzałych. Te ostatnie chcą własnego domu, chcą ustalonego losu i to pragnienie często je silniej zaślepia od niedoświadczenia pierwszej młodości. Sądzą, że wszystko zwalczą, że wszystko osiągną: zmienią upodobania, przetworzą charakter, i często nawet bez właściwego fałszu, kłamiąc sobie, kłamią zarazem temu, z którego losem się łączą — unieszczęśliwiając, nieszczęśliwemi się czynią!

Lecz te inne jeszcze, te szczerze już i świadomie zimne, te, których pojęcie szczęścia otwarcie się zawiera tylko w używaniu, w dobrobycie, w tem, co się kupuje za pieniądze, a zadawalnia przez próżność i leniwą wygodę—te, co czekają, aby ich wybrany był człowiekiem, który przebył już ową fazę lat dziesięciu, potrzebnych na zdwojenie jego dochodu—te jak wychodzą na tem?— „Mimo wszystkiego, natura jest mocniejszą, niż roztropność (In spite of all, nature is stronger than prudence), odpowiada prelegentka i kreśli prawie tragiczny obraz małżeństwa bez miłości, próżni serca, która jest przepaścią niczem niezapełnioną. Żadna zabawa, żadne zadowolenie pychy, dostatek, z owoców materyalnego mienia powstały—nic, nic na to nie pomoże. W tej głębi bez dna wszystko tonie, wszystko przepada, i jak lady Macbeth, chodząc po nocach, szukała wody na obmycie rąk skrwawionych, tak kobieta, która się zaprzedała w małżeństwo bez miłości, dla używania, danego jej przez dostatek, nieraz w lunatycznych snach podobnie błądzi, szukając daremnie jakiejtakiej iskierki ciepła, któraby jej zamrożone życie ogrzała.

Prelegentka angielska, chcąc być w zgodzie z sumieniem, które się lęka kogoś obałamucić, mgłą poetyczną owiać ostre kontury prawdy życiowej, z dosadnością i realizmem szkoły flamandzkiej przedstawia warunki istnienia niezamożnej rodziny, zwłaszcza w wielkiem mieście, w Londynie, na jego starych ulicach, wśród posępnych murów jego starych kamienic; przecież śmiało powraca do przytoczonego wyżej axiomatu i dodaje: „Miłość się śmieje z ubóstwa".

Im więcej jest w narodzie małżeństw zdolnych do miłości, choćby w dworku, tem, według niej, naród ten jest dzielniejszym, silniejszym, wyższym przez płomień ducha, którego ma w sobie Nasza *Chatka w lesie* jest poetyczną illustracyą tej tezy angielskiej prelegentki.

M. I.

1) *Love in a Cottage*, stanowi tytuł komedyi, grywanej niegdyś i u nas w tłómaczeniu, pod tytułem: „Choćby w chatce, byle z nim!"

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Silny duch.**

TREŚĆ. Łamanie się opłatkiem, — poezya, przez Maryą Ilnicką. — **Pogawędka.** — Głupia dziewczyna (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — **Korrespondencya zagraniczna,** Wiedeń — **Przegląd piśmienniczy,** (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — **Nowiny paryzkie,** (dokończenie). — Odczyty kobiet w Anglii, (dokończenie).

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 4-ty i 5-ty, przez W. Heimburg. — Przegląd mód. — 33 wzory ubiorów i robót wraz z opisem.—Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Декабря 1884 года.